**Książka o sercach, oblepionych krowim łajnem**

Biegłam wzrokiem po kartkach tej książki jak najszybciej się dało, by tylko dotrzeć już do końca, zamknąć ją i nigdy więcej do niej nie wracać. Nagrodzona w 2020 roku nagrodą The Man Booker International Prize książka pt. „Niepokój przychodzi o zmierzchu” autorstwa Marieke Lucas Rijneveld to powieść, której każda strona przesiąknięta jest bólem, strachem i samotnością dzieci, przytłoczonych brutalną rzeczywistością, w jakiej przyszło
im żyć. Wychowanie w bardzo ortodoksyjnej rodzinie w konfrontacji z seksualnością
to połączenie niewątpliwie kontrowersyjne, a do tego samotność, obojętność ze strony rodziców, brud, rozpacz i smutek, aż w końcu żałoba, z którą nie radzi sobie nikt z rodziny – to mieszanka niemalże wybuchowa.

Mała wioska na holenderskiej prowincji, rodzina rolników, których priorytety
to ciężka praca i religia, czwórka rodzeństwa, krowy, króliki i kury – typowa wiejska codzienność, którą brutalnie przerywa tragiczna śmierć najstarszego syna. Historię poznajemy z perspektywy jego dwunastoletniej siostry, która od chwili tragedii nie zdejmuje czerwonej budrysówki, aby odizolować się od świata. Ta książka to przemyślenia dziecka przelane
na papier, nieprzefiltrowane przez żadne sitko przyzwoitości i dobrego smaku. Czytając, bałam się myśli tej dziewczynki, a z każdym kolejnym akapitem obawiałam się następnych obrzydliwych, druzgocących zdań, z którymi sobie nie poradzę, a z którymi przyszło mierzyć się temu dziecku.

 Autorka bowiem, podejmując tak trudne tematy w swojej powieści, dodatkowo zdecydowała się na skrajny naturalizm, który przejawiał się w niemalże każdym opisie,
w każdej myśli dziewczynki. Przez chwilę odnieść można wrażenie, że odrzucających opisów jest tak wiele i są one tak odpychające, że był to celowy zamysł autorki, w pewnym sensie na pokaz: ,,Im bardziej obrzydliwie, tym będzie o niej głośniej”. Później jednak nasuwa się tylko jeden słuszny wniosek: to po prostu całkowite obnażenie natury, bez pominięcia żadnych szczegółów.

Lektura ta wręcz śmierdzi krowim łajnem. Antyestetyzm pojawiający
się w opisywaniu wiejskich prac, wyglądu domu, a nawet odczuć zmysłowych, takich jak smak i zapach, oznaczał nie tyle kult brzydoty, co zgodę na nią i akceptację brudu i smrodu. Nieodparta potrzeba przytulenia tej niewinnej dziewczynki w czerwonej kurtce i zabrania
jej jak najdalej od tego bałaganu towarzyszy czytelnikowi niemal od pierwszych rozdziałów. Bardzo ciężko jest umiejscowić tę historię w konkretnych ramach czasowych i przypisać
jej konkretny rok akcji. Długo myślałam, że akcja toczy się w latach 20. lub 30. XX w. albo jeszcze wcześniej, lecz potem pojawiały się wyrazy takie jak: ,,odkurzacz”, ,,walkman”,
a dzieci grały na komputerze w ,,Simsy”, tak więc była to współczesność.
Nie pozostaje więc nic innego, jak stwierdzić, że ta holenderska rodzina była zwykłą, prymitywnie żyjącą patologią. Na podłodze w domu nieustannie leżało krowie łajno, które ojciec wnosił na butach ze stodoły, a codziennie jadło się tam stary, spleśniały chleb, bo skoro ,,kury od tego nie zachorują, to wy też nie”[[1]](#footnote-2). Wiele opisów brzydziło, wiele odrzucało, mnóstwo było smutnych i przygnębiających, ale dopiero gdy zamyka się tę książkę, odczuwalne jest to specyficzne uczucie brudu i obrzydzenia od środka.

 Zastosowanie turpizmu pozwoliło także przedstawić czytelnikom biologię małego dziecka, jego myśli i odczucia w chwili, kiedy jest pozostawione same sobie, więc głównej roli nie odgrywa wówczas intelekt, lecz wrodzone instynkty. Rijneveld bardzo trafnie zwraca uwagę na fakt, że jeżeli rodzice nie poprowadzą dziecka przez jego proces dojrzewania, poznawania świata i samego siebie, to dziecko zrobi to samodzielnie. Jeżeli bowiem czegoś nie rozumie, to będzie chciało zrozumieć i zrobi to w każdy możliwy sposób. Dzieci
nie rozumiały śmierci swojego brata, swojej seksualności ani obojętności rodziców. Topiąc chomika w szklance wody, skręcając kogutowi kark, czy uderzając przez całą noc do krwi głową o ramę łóżka, pragnęły uwolnić emocje, które nagromadziły się w nich podczas dorastania w despotycznej rodzinie, lecz w żaden sposób z tymi emocjami nie umiały sobie poradzić.

W okresie dojrzewania dziecko nie potrzebuje rad i uwag dotyczących jego zachowania czy wyglądu, natomiast potrzebuje rodziców, którzy będą
je wspierać i mądrze towarzyszyć w okresie ważnych przemian w jego życiu. Dzieci
w książce Rijneveld nie miały tego wsparcia. Budrysówka, czyli narratorka powieści, powiedziała nawet: ,,Mojego serca nikt nie zna. Jest głęboko ukryte pod kurtką, skórą, żebrami. W brzuchu matki moje serce przez dziewięć miesięcy było ważne, ale gdy tylko znalazłam się poza nim, nikt nie martwi się o to, czy bije wystarczająco dużo razy
na godzinę”[[2]](#footnote-3). Dla rodziców nie było bowiem ważne to, co czują i myślą ich dzieci, lecz to,
co nakazuje religia. W tym domu nieustannie powoływano się na czytane Słowo,
ale zdecydowanie brakowało słów między członkami rodziny. Rodzice do znudzenia cytowali różnorodne fragmenty Świętej Księgi, które nawoływały do czystości, przyzwoitości, ciężkiej pracy i poświęcenia, a tępiły seksualność, kojarzoną z brudem, wstydem i słabością. Bóg natomiast nie był miłosierny – Bóg karał. Straszono nim dzieci jak złym smokiem z bajek,
a zatem żyły one w nieustannym lęku i niepokoju.

Samotność dzieci i potęgujący się lęk były tak silne, że zaczęły one obwiniać same siebie za wszelkie nieszczęścia ich rodziny. Pragnącej rozpaczliwie uwagi rodziców Budrysówce nasuwa się refleksja: ,,Ojciec wielu rzeczy nie dostrzega. Częściej patrzy
na ziemię lub na niebo niż na to, co znajduje się na wysokości jego oczu. Ja jestem tak duża, że akurat wpasowuję się pomiędzy i aby mnie zobaczył, muszę się robić wyższa lub niższa”[[3]](#footnote-4). Ojciec patrzący tylko w ziemię lub tylko w niebo przeciera kolejny szlak do zrozumienia, dlaczego rodzina ta była tak dysfunkcyjna. Czytając tę powieść bardzo często nasuwa
się pytanie: ,,Czy oni kochają swoje dzieci?” Ja nie umiałam na nie odpowiedzieć. Być może w tej historii ofiarami rodziców nie były tylko dzieci, ale także wbrew pozorom sami rodzice. Nieoczekiwana śmierć syna sprawiła, że zniszczyli oni swoje dzieci, niszcząc wcześniej samych siebie.

Przechodzenie przez okres żałoby ma cztery główne fazy: faza pierwsza – szok
i otępienie, faza druga – tęsknota i żal, faza trzecia – dezorganizacja i rozpacz oraz faza czwarta – reorganizacja. Dopiero przejście przez każdą z nich pozwala na wewnętrzny spokój
i normalne funkcjonowanie. Ta holenderska rodzina zatrzymała się na pierwszej i w niej ugrzęzła. Śmierć syna była dla rodziców tematem tabu, a dzieci mimo że pytały, to nigdy nie otrzymywały odpowiedzi. W końcu nawet przestały pytać, skoro za każde wspomnienie
o bracie były surowo karane. Krzesło, na którym przesiadywał chłopiec, jego
kurtka – wszystko było nietykalne, tak jakby rodzice bali się, że jeżeli tego dotkną,
to rozdrapią rany, które i tak nigdy się nie zagoiły.

Zaskakujący jest fakt, że jeżeli zagłębimy się w biografię autorki, okazuje się,
że książka jest ubarwioną historią jej życia. Rijneveld miała trzy latka, gdy w wypadku zginął jej dwunastoletni brat, tak samo jak bohaterka powieści – nosiła kurtkę, która miała chronić
ją przed śmiercią, dorastała w rodzinie członków Holenderskiego Kościoła Reformowanego, a dodatkowo do dziś przerzuca krowie łajno i robiła to nawet w przerwach podczas pisania
tej powieści. Autorka mówi, że rodzina bardzo sceptycznie odbiera jej książkę: ,,Mamie podobała się uroda stylu, ale ojciec jej nie czytał i nie chce przeczytać”[[4]](#footnote-5). Czytając
tę historię i nie znając nawet jeszcze biografii Rijneveld, pomyślałam, że musiała wiele
w życiu cierpieć, aby napisać taką książkę. Nie wystarczy bowiem śmierć brata, ale umrzeć musiała także jakaś cząstka jej samej, aby przelać na papier taki bezmiar bólu.

Mimo że książkę odłożyłam na półkę, smutek, niepokój, obrzydzenie i wewnętrzny brud we mnie pozostały i myślę, że właśnie to jest fenomenem tej książki. Bardzo prostym językiem, spokojnie i rozważnie mała dziewczynka relacjonuje to, co dzieje się dookoła
w jej życiu, a czytelnik nie pragnie nic więcej, jak mocno przytulić to dziecko, a książkę położyć z dala, aby ta rozpacz i żal nigdy nie przeniknęły do jego życia.

1. M. L. Rijneveld, *Niepokój przychodzi o zmierzchu*, Kraków 202, s.79 [↑](#footnote-ref-2)
2. *Ibidem,* s. 61 [↑](#footnote-ref-3)
3. *Ibidem,* s. 209 [↑](#footnote-ref-4)
4. Zob. https://www.rp.pl/literatura/art135521-niepokoj-przychodzi-o-zmierzchu-biblia-zamiast-disneya [↑](#footnote-ref-5)